

WŁODZIMIERZ ŻUŁAWSKI

**SŁOWO
O PRZYJACIELU POETY I O NIM**

W 25-tą rocznicę zgonu Wyspiańskiego

KRAKÓW 1932

<http://rcin.org.pl>

*Przyjacielu Państwa
A. Yarem'ich rosdinowi
do Tw. Kary
przez Taw. c.
M. Z. J. 1932*

WŁODZIMIERZ ŻUŁAWSKI

**SŁOWO
O PRZYJACIELU POETY I O NIM**

W 25-tą rocznicę zgonu Wyspiańskiego

KRAKÓW 1932



I-11657

Jeśli za życia wielkiego artysty istniał ktoś, kto jego imię nosił w sercu jak żar, to niewątpliwie Kazimierz Brudzewski. Ten cichy, nieśmiały, zawsze zamyślony uczeń szkoły realnej, będzie przez cały czas pobytu u Stankiewiczów łamał sobie głowę nad tem, w jakiby sposób okazać Wyspiańskiemu głębokie do niego przywiązanie i wdzięczność. Stać mu się użytecznym, spełniać za niego rozliczne drobiazgowy czynności, czytać z jego oczu wolę i woli tej móc uczynić zadość — szczyt szczęścia! I odwrotnie, ileż niepokoju, domysłów, lęku, „chodzenia na palcach“, gdy Wyspiański — co mu się zdarzało często — milczy, lub broń Boże niezdrów. Przyzwyczajono się już oddawna, że w domu dzieje się tak, „jak Staś lubi“ i „jak Staś chce“, lecz zamiast jednego „komendanta“, mieli ich Stankiewiczowie dwu jednocześnie: Wyspiańskiego, który „dysponował“ i Brudzewskiego, który wykonania tych dyspozycyj najskrupulatniej dopilnowywał, czasem gorącą prośbą, a czasem i łzami...

Nieporozumienia między nimi oboma — bo i one się przytrafiały w ich wspólnym pokoju — kończyła wycieczka nad Wisłę, na Paniańskie Skały czy gdzieindziej, albo obiecany

przez artystę teatr, „jak będą coś dobrego gra-
li“. Z wdzięczności za tę obietnicę, za tę „nad
radości radość“, zjawiały się na stoliku Wy-
spiańskiego wiązanki kwiatów lub słodycze,
a zjawił się raz i gołąb biały, „duśka“ szcze-
gólnie mu miła, wyuczona zczasem przez nich
obydwu szukać w ustach grochu i pić wodę...
Naturalnie zarówno teatr, jak i resztę z od-
wzajemnienia się wynikłych kosztów pokry-
wała kieszeń przeznaczego wuja Kazimierza
i jego uroczyście milczenie...

Zdarzyło się atoli, że przestąpili próg tea-
tru bez grosza na bilet. Nie było wtedy siły,
coby ich od tego powstrzymała! Wsłuchani
w ciszę po zaczętem widowisku wyczekiwali
tylko momentu, kiedy zerwą się oklaski i na-
rozień otworzą drzwi parteru... Ileż utrapień,
zanim się przez tę cizbę wychodzących uda
przecisnąć niepostrzeżenie i zdobyć przy para-
pecie „punkt do obserwacji!“ — Lecz osiągnię-
te zwycięstwo nie niosło zupełnego szczęścia:
„stracili“ Modrzejewską w całym I. akcie Ma-
rji Stuart.

Utrudniane przez Stankiewiczową z uwagi
na szkołę rozczytywanie się obu w literaturze,
jakoteż zaledwie pobłażane wciąganie Bru-
dzewskiego do tej lektury, „kwitnęło w naj-
lepsze“ po nocach *). Trzeba było dobrze liczyć

*) Teraz dopiero objawi się gwałtownie wrodzo-
na Wyspiańskiemu, a zdawien dawna zauważona
przez wychowawców „pasja komenderowania wszy-
stkimi“, ów najbardziej bezinteresowny trud mi-
syjny, jakiego się podejmie w stosunku do przy-
jaciół i kolegów.

domowe świece, bo zabrana lampa stanu rzeczy nie zmieniała... Inne sprzęty, jak portjery, nakrycia stołów i łóżek, meble — nie biorąc w rachubę garderoby wujostwa — służyły im stale razem z dostarczaną przez nich dekoracją malarską (Brudzewski dobrze rysował) przy wygłaszaniu deklamacyj, rozmaitych dialogów i studjowaniu ról, kiedy mieli „grać“ w teatrze amatorskim. Podczas jednej z takich prób, z niezwykłymi zawsze ostrożnościami późno w noc urządzanych, zdawało się Stankiewiczowej, że ktoś głośno zawołał... Zmiarkowawszy się w sytuacji, uchyla drzwi do pokoju „chłopców“ i najwyraźniej widzi, jak zdmuchują świece, a jednocześnie w ciemnościach słyszy głos Wyspiańskiego mocno zmieniony: „To ciocia nie wie, że podczas próby widownia dla publiczności jest zamknięta?!“

* * *

O dwie mile od Krakowa położone Korabniki, majątek Brudzewskich, były tą wsią polską, która czarem krajobrazu i przechowaniami w jej dworze tradycjami, przywiązała do siebie serce Wyspiańskiego na zawsze. Tu spędzał z wujostwem święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, tutaj miewał stałe pied à terre wakacyjne aż do chwili odjazdu zagranicę, a nierzadko witano go tam przychodzącego z Brudzewskim, w czasie, gdy już jako uczeń uniwersytetu większą się cieszył swobodą. Ciągnęła go tam szczerść i serdeczność ludzi, co zawsze bożemi chodzili ścieżkami; kusily zielone wieczyście nad dworem świerki, a po rabatach ogro-

*dziewża
na*

dowych narcyzy i astry, kwiaty korabnickie, kwiaty pachnące mu jak żadne inne na świecie; — nigdzie nie widział tyle w przestworzach błękitu i takiego z promieniami wszystkimi i blaskami słońca.

„O Korabnikach zawsze lubię się czegoś dowiedzieć“ — pisze do wujostwa z Paryża. Pośyłając ukłony dla znajomych, każe je złożyć „specjalnie Korabnikom“. W jego korespondencji ze Stankiewiczami mało jest listów z roku 1891 (Korabniki zostały sprzedane w roku następnym), gdzieby bodaj dwoma słowami nie zapytywał o drogą mu wieś, za którą tęskni na paryskim bruku.

„Co słyhać w Korabnikach? Tutaj już jesień, na wszystkich drzewach liście żółte i opadłe; mnie się wciąż zdaje, że z korabnickich drzew listki nie opadają, że na korabnickich krzewach listki nie żółkną i że tam jeszcze wiosna“.

Naoczemu świadkowi wywczaśów wakacyjnych poety, doktorowi Karolowi Brudzewskiemu, Kazimierza bratu, zawdzięczamy cenne wspomnienie. Wyspiański całymi dniami chodził po ogrodzie i polach korabnickich, z blokiem i ołówkiem, o ile tylko świeciło słońce. Rysował wciąż i wszystko, jednak przeważnie pejzaże. Robił ich „stosy“, ale większość niszczył zaraz. To ustawiczne rysowanie pejzaży — jak twierdził — wprawia oko do chwytania natury. Jego ulubionymi modelami były dzieci wieśniaków, sąsiadujących z dworem. Zabierały mu one dużo czasu i dużo miejsca w tece. Prawie wyłącznie rysował je

na t. zw. tonowym papierze ołówkiem, a następnie podbarwiał akwarelą. Konieczność dania zaobserwowanym rzeczom kształtu sztuki i objawiający się na każdym kroku przy-
mus tworzenia, sprawiały wrażenie, że wszystko co się wokół Wyspiańskiego dzieje i w
czym jakikolwiek bierze udział, zajmuje go o
tyle tylko, o ile jego oko — oko malarza —
może z tego odnieść korzyść. Było dostatecz-
ne, aby zebrane w korabnickim salonie to-
warzystwo siedziało przez chwilę spokojnie,
przysłuchując się czyjemuś opowiadaniu. Tej
chwili Wyspiański zdawał się oczekiwać. Na-
tychmiast wyjmował ołówek i ukradkiem
próbował portretować obecnych. Portrety ich
powstawały jeden za drugim. Chwycenie po-
dobieństwa niezbyt mu się udawało, ale rysow-
wał niesłychanie szybko i bardzo „korekt“ w
proporcjach. „Ojciec mój — opowiada Dr Bru-
dzewski — lubił zabawiać gości anegdotami
z życia dawnej szlachty, pełnemi nadzwyczaj-
nych zdarzeń, sytuacji i t. d., a wtedy Wy-
spiański napoczekaniu szkicował fantazyjne
twarze i figury w anegdocie występujących o-
sób, nieraz bardzo udatne i komiczne i na
czem się dało, nawet na marginesach gazety,
którą miał pod ręką. Wszystkie te twarze i fi-
gury — często groteskowe — przypominały
fakturą matejkowskie rysunki“.

Jakiemu losowi uległy listy, które Wyspiań-
ski pisał do przyjaciela podczas swej bytności
zagranicą i później z Krakowa, niewiadomo.
Pogłoska, jakoby znajdowały się u kogoś w
przechowaniu, okazała się zwyczajną plotką,

a domyśl, że schodząc ze świata Brudzewski sam zniszczył drogą mu pamiątkę, jest wszystkim, co wiedzieć będziemy o czynie spełnionym może tuż przed śmiercią i tak jak powód jej, całkowitą tajemnicą zasłoniętym. Z dociekań ludzkich nad nim, jedno jedyne ś. p. Stankiewiczowej godzi się wziąć pod uwagę. Związana z tragicznie zmarłym węzłami niemal macierzyńskiej tkliwości, znająca jak nikt jego niezłomny charakter, długoletnia opiekunka zaprzecza stanowczo inwektywie, czyniącej go sprawcą zniszczenia listów dla jakiegoś osobistego celu; odrzuci również podejrzenie, iż uczynił to w wybuchu rzekomej choroby nerwowej czy innej. Cenione przez zmarłego jak relikwja, lecz stokroć sercu bliższe, dokumenty przyjaźni Wyspiańskiego przestaną istnieć, bo taka była jego wola. Spełnić ją, to obowiązek ostatni przed pójściem w drogę bezpowrotną, i ś. p. Brudzewski się nie zawaha.

Z chwil w życiu jasnych zapamięta dobrze litanję gorących prośb, jakimi Wyspiański wróciwszy z Paryża domagał się u Stankiewiczowej oddania mu całej jego korespondencji. Pod pozorami najbardziej wymyślnemi pragnął za każdą cenę osiągnąć nieschodzący mu z myśli cel: zatarcie śladów wszystkiego, co do kogokolwiek pisał. Nie cofnie się nawet przed gwałtem. Tylko zbiegowi okoliczności, a mianowicie wcześniejszemu powrotowi wychowawczyni do domu (wróciła się po książkę do nabożeństwa), zawdzięczamy ocalenie 53 listów z Paryża i skądinąd, listów troskli-

wie przed nim ukrywanych w komodzie z bielizną. In flagranti schwyty na ich poszukiwaniu oświadczył, że zadecydował zniszczyć je „co do jednego“ i że tak wcześniej czy później bezwarunkowo zrobi. A przecież były to już ostatki trwonionego tylokrotnie jego rękami skarbu!

Przepadły (z wyjątkiem jednego) „dużą kopertę“ wypełniające listy z r. 1892, obok korespondencji z Henrykiem Opieńskim drugie źródło, skąd biografowie czerpać mieli materiał do rozpraw o pierwocinach twórczości przyszłego dramaturga, o Danaidach, Hiobach, Wandach, Fantastach i tylu innych, nawet z tytułu nieznanymi utworach. — A rok to, kiedy genjusz Wyspiańskiego i z ducha muzyki poczęty, najczęściej będzie trącał jej struny. — Przepadły również listy z pierwszej połowy następnego roku. Jak artysta lekceważył sobie tę własną korespondencję, dowodem sygnatura na jednym z listów — niedatowanym. Zapytany, czy nie pamięta roku, w którym go pisał, bierze do ręki ołówek i ku ogromnemu zdziwieniu wuja Stankiewicza kaligrafuje urojoną niemal w całości datę: „Paryż 16 Juillet 1895“. — Na zwróconą mu uwagę, że to chyba żarty, bo przecież z Paryża wrócił w roku 94-tym, a nie w 95-tym, datę listu zaopatrzył znakiem pytania i wykrzyknikiem...

Tak samo korcą go listy, których nie dał sobie odebrać przezorny Rydel. I jemu nie było tajne, do czego zmierzał Wyspiański, pisząc w grudniu 1898 roku: „Udaję się do Ciebie

z prośbą o łaskawe odesłanie mi tych listów, jakie są u Ciebie (listów z owej podróży przed kilku laty pisanych), oraz o łaskawe przyłączenie do nich tego obrazka udramatyzowanego o „Królowej Korony Polskiej“. — Czyż i ten klejnot poezji kościelnej — jak Sinko „Królowę Korony Polskiej“ pięknie nazywa — miał być zniszczony?! Wdzięczni musimy być Rydlowi za jego dla literatury naszej największy czyn, jednakowoż trudno nie zaznaczyć, że czyn ten spełniono wbrew woli artysty, a zatem z jego krzywdą. Ale aby tę wolę zrozumieć i uczynić jej zadość, potrzeba było wielkiego serca i wielkiego w niem żaru. Oba te skarby bożą ręką dane miał jeden jedyny człowiek: Kazimierz Brudzewski. I dla tego listy przyjaciela spalił.

Między pamiątkami, które piszący niniejsze słowa otrzymał od Janiny Stankiewiczowej, znajdują się dwie kartki pocztowe artysty do Brudzewskiego. Ocalały — w książkę włożone przez zmarłego i zapomniane. Pierwsza, z datą (na pieczęci pocztowej) Salzburg 14 maja 1891, z drogi do Paryża, zawiera szczegółowe wskazówki, jakich się ma trzymać młodociany Brudzewski, zobowiązawszy się przygotować Wyspiańskiemu kartony pod rysunki szyb okna fasadowego w kościele Marjackim. Bez intytulacji zaczęta i przez Wyspiańskiego niepodpisana, kartka ta (widać nie pierwsza tego dnia!) brzmi:

„Co się tyczy różnych informacji odnoszących się do pozostawionych przedmiotów, zdaje mi się iż wszystko powiedziałem wyraźnie,

przypomnę zatem tylko to, co mi jest nieodzownie potrzebne i czego nie chciałbym, abys zapomniał. Mianowicie chodzi o przygotowanie kartonów pod rysunki szyb okna frontowego — narazie najpilniejsze są mi te 5—4 razy powtórzone rysunek według tektury, która została w mojej małej tece (szablon) i raz przerysowane dokładnie koło środkowe. — Mianowicie trzeba kupić papieru niezbyt grubego ani zbyt cienkiego rulonowego u Fiszera (2 metry) = 80 centów i na nim odrysować 4 razy szablon duży, oraz szablon mały, i skoro już wszystko będzie gotowe, zanieść do p. Stryjeńskiego, który będzie już wiedział co z tem zrobić, bo mu o tem napiszę. — Toż samo kupić będzie trzeba z 10 metrów papieru tegoż samego i według miar, które Ci prześlę w następnej korespondencji, wyrysować 36 pól na szyby do okna na froncie kościoła. Pieniądze 5 złr. da Ci p. Stryjeński, ale wpierv zrób to pierwsze i zanieś“.

Drugą kartkę wysyła Wyspiański po przyjeździe do Paryża. Widać z niej, że Brudzewski powierzonej pracy dokonał, że ta wiadomość rozweseliła artystę, co mu się nieczęsto zdarzało. Jest więc w doskonałym humorze („wczoraj“ widział „Cyda“), żartuje. Przychodzą mu na myśl postacie z nieznaney nam dotychczas książki, którą wspólnie z Brudzewskim czytał, czy też role z jakiegoś amatorskiego teatru, gdzie występowali obaj, a może tylko własnej imaginacji postacie... i przyjaciela zowie „Melimirysem“, a siebie „Loribelisem“. Na zapytanie, jak mu się po-

wiodło w konkursie wyrokującym przyjęcie lub nieprzyjęcie do paryskiej Szkoły Sztuk Pięknych, odpisze dopiero później, gdyż wynik tegoż jeszcze nieogłoszony. Wreszcie wynurza się najostrożniej i z pomocą najdowcipniejszych alegoryj, donosząc o tajonej przed ludźmi, a razem z Mehofferem wykonywanej w dalszym ciągu dekoracji dla hali praskiego Rudolfinum. Ponieważ wszystkiego co Brudzewskiemu obwieszcza, na kartce zmieścić nie może, czyni to na jej zewnętrznej stronie i tuż pod adresem dopisuje: „nie wiem, gdzie dać literaturę, ale nie Maszkowskiemu“. (O tych zewnętrznych stronach kart pocztowych artysty możnaby osobną ogłosić publikację. Adresując do Henryka Opieńskiego, pisze z Paryża: „Monsieur Henryk Ibsen“, poczem orjentuje się, Ibsena przekreśla momentalnie i obok pisze: Opieński. Podobna rzecz zaszła na innej kartce — 6 marca 1892. Adresuje — teraz znowu siedzi w Szekspirze —: „Monsieur Henri VI Opieński“. Ten kilkakrotnie przekreślony *Henryk VI* i Ibsen, to jedno z najwymowniejszych słów, jakie Wyspiański kiedykolwiek powiedział o teatrze — tym razem bezwiednie — w swojej ustawicznej nad nim zadumie).

Tekst kartki do Kazimierza Brudzewskiego jest następujący:

„Paryż dnia 22-go Czerwca 1891 rp.

Kochany Kaziu, Melimirysie! Dziękuję Ci bardzo za wykonanie tak olbrzymiej pracy, którą zapewne jutro ujrzę (jeszcze bowiem

z poczty jej nie oddano). Ponieważ sam ją robiłeś, sam więc jeden jesteś w możności ocenić jej ogrom, a ja tylko jeden potrafię ocenić jej potrzebę, jak np. p. Stryjeński znów mógł widzieć jej konieczność. — (Jest to wszystko zwrot retoryczny). — Co się tyczy prawdy, to o wyniku konkursu jeszcze nie nie wiem. Za parę dni prawdopodobnie już coś stanowczego doniosę. Z polityki chcąc Ci cośkolwiek donieść zewnątrzniej, powiem Ci że sprawa czeska zaczyna nas znów interesować, że mianowicie nietylko mnie samego tym razem — notabene żart (o czym później). —

Uważaj Karola Maszkowskiego za przyjazdem, o ile mu się będzie wydawało, że się zmienił i o ile się rzeczywiście zmienił.

Wczoraj podziwiałem w teatrze „Cida“ rasyńskiego (sic!).

Loribelis"



T-11657

201/64 K

90

71564

I

11657